

Katarzyna Kość-Ryżko

Rozmowa z prof. Władysławem Duczko o roli przypadku w życiu badacza, rodzinnych korzeniach i pasji odkrywania¹

Jakie drogi – pewnie często wyboiste – doprowadziły Pana do miejsca, w którym znalazł się Pan zawodowo?

Jeśli pyta Pani, dlaczego poszedłem na archeologię, to już mówię – przede wszystkim dlatego, żeby **nie** iść na historię sztuki. Miałem ogromne ciągoty w tym kierunku, od dawna się nią interesowałem. Trochę też rysowałem, ale nie miałem wystarczającego talentu, żeby się w tej dziedzinie rozwijać. Na własną rękę nauczyłem się jednak całkiem sporo i uznałem, że nie ma sensu iść na historię sztuki. Zastanawiałem się więc, co jest jej najbliższe – padło na archeologię. Poszedłem na egzamin, dostałem się i to była wielka radość. W tamtych czasach studia były ogromnym przywilejem – niełatwo było się dostać. Warszawski uniwersytet miał w latach sześćdziesiątych tylko sześć tysięcy studentów – wobec tego, ilu jest teraz, to naprawdę niewiele. Dlatego też wszyscy na archeologii znaleźliśmy się wtedy między sobą. Wszystkie roczniki razem liczyły niewiele ponad trzydzieści osób. A jednocześnie cały czas jeździliśmy na wykopaliska, na badania powierzchniowe. Dzięki temu poznałem całą Polskę. To było niesamowite przeżycie – wspaniałe.

Pracy magisterskiej jednak niestety nie zdążyłem w Polsce ukończyć, choć przygotowywałem ją pod kierunkiem pani docent Wartołowskiej – świetnej specjalistki i wielkiej pani archeolog². Ona bardzo dużo kopała. Między innymi

1 Rozmowa odbyła się z okazji przypadającej w 2023 roku 70. rocznicy istnienia Instytutu Archeologii i Etnologii PAN. Autorka wywiadu dokonała wyboru fragmentów z zapisu dwóch spotkań, które miały miejsce 8 i 12 grudnia 2022 roku. Nie zaznaczono opuszczeń, aby zachować ciągłość wypowiedzi. Szczegółowa transkrypcja rozmowy liczy ponad 60 stron maszynopisu [wszystkie przypisy pochodzą od autorki wywiadu].

2 Zofia Wartołowska (1911–1976) – archeolog, doc. dr, badaczka grodzisk, kierownik Zakładu Archeologii Wczesnośredniowiecznej UW, inicjatorka powstania międzyuczelnianego Zespołu Badań nad Polskim Średniowieczem UW i PW.

byłem z nią na wykopaliskach w Wiślicy. To był wspaniały czas i ciekawe badania, ale to były wczesne lata sześćdziesiąte i już nie zdążyłem dokończyć pracy, bo wkrótce musiałem wyjechać z Polski. Kiedy przyjechałem do Szwecji, bardzo szybko doceniłem polską szkołę archeologii. Byłem – i jestem do dziś – ogromnie wdzięczny pani docent Wartołowskiej. To ona zwróciła mi uwagę na ozdoby, do których w czasie całej mojej edukacji w ogóle nie przywiązywałem wagi. Potem, już w Szwecji, okazało się, że to właśnie temat wart badań. Im więcej czasu temu poświęcałem, tym ciekawsze rzeczy odkrywałem. Jeszcze w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych często wyjeżdżałem do Londynu, bo przy jednym z muzeów działało Society of Jewellery Historians. Spotykaliśmy się tam co roku. To było niesłychanie ciekawe i inspirujące środowisko. Wśród jego członków był niezapomniany dla mnie Jack Ogden³, którego ojciec miał sklep antykwaryczny w Londynie – później przejęty właśnie przez Jacka. Pewnego razu, gdy byłem akurat w Londynie, zajrzałem do niego. Sklep wyglądał jak nie z tej ziemi. Nagle otwierają się drzwi, wchodzi jakiś mężczyzna – ubrany po europejsku, ale z twarzy od razu widać, że Arab. W ręku trzymał worek. Jack stwierdził, że właśnie na niego czekał. Gdy chciałem już wychodzić, powiedział: „Poczekaj, zaraz coś zobaczysz”. Zaczęli rozmawiać, gestykulowali – nic nie rozumiałem. Po chwili Arab postawił worek na ziemi, otworzył go, a Jack zawołał: „Chodź, chodź tu prędko!”. Zaglądamy, a tam pełno złotych i srebrnych ozdób. Coś niesamowitego, niewiarygodny widok. Zdębiałem, a Jack mówi: „Słuchaj, na pewno znajdziesz tu coś, co cię zainteresuje, coś związanego z Bizancjum”. Oczywiście on wszystko to kupił i sprzedawał dalej, jakby nigdy nic – ale taka jest Anglia...

Wyjazd do Szwecji był wcześniej zaplanowany czy coś Pana do niego skłoniło?

Ależ skąd! Absolutnie nie ze względów politycznych, lecz z powodu „żydostwa” mojej mamusi. To wątek, który można ciągnąć bardzo długo, bo wciąż jest w nim coś z traumy. Może dla nas, następnego pokolenia, już mniej, choć znam takich, którzy mają fatalny uraz psychiczny. Nigdy nie przyjeżdżają do Polski, bo uznali, że to miejsce dla nich nie istnieje, że trzeba je wymazać

3 Jack M. Ogden – brytyjski historyk biżuterii, dr, zajmuje się przede wszystkim starożytnymi i historycznymi technologiami oraz materiałami wykorzystywanymi do wyrobu biżuterii. Założyciel Society of Jewellery Historians, członek organizacji antykwarycznych, konsultant licznych muzeów, kolekcjonerów i domów aukcyjnych.

z pamięci. Nie wszystkie rany się goją. Ja nie miałem z tym problemu, między innymi dlatego, że moja matka od początku nie chciała być Żydówką – ani mnie, ani mojej starszej siostry nie wychowywała w duchu tej religii i tradycji. Kulturowo trzymała się od tego z daleka. Cała dalsza rodzina była religijna, ale nie nasza. Mama należała już do tego pierwszego pokolenia, które wyrwało się z tradycyjnego żydostwa. Nawet w pewnym momencie zaangażowała się w ruch esperancki. Mam do dziś wspaniałe zdjęcie z jednego z pierwszych międzynarodowych kongresów esperanckich, na którym była.

Zmuszony byłem więc te rodzinne korzenie – po kądzieli – rekonstruować sam, z różnych skrawków wypowiedzi mojej matki. Wiedziałem, że cała jej rodzina pochodziła z Łódzkiego, natomiast mój ojciec był Aryjczykiem. Strasznie to brzmi, kiedy tak mówię, ale tak to właśnie wyglądało w moim doświadczeniu. Zwłaszcza że ojciec był zadeklarowanym komunistą, należał do KPP [Komunistyczna Partia Polski – dop. KKR] i był ideowcem. Cała ta historia jest trochę nie z tej ziemi, a dziś trudno ją dokładnie odtworzyć – już nikogo nie ma. Ale właśnie dlatego trzeba rozmawiać i nagrywać.

Po wojnie rodzice zamieszkali w Warszawie, wcześniej jednak byli w partyzantce na Białorusi. Ojciec w 1944 roku przyjechał stamtąd do Białegostoku i został włączony – jako prawdziwy komunista – do UB. Na szczęście miałem okazję sprawdzić jego teczkę i wiem, że nie należał do tych, którzy mordowali. Bogu dzięki. Matka końcówkę wojny spędziła w Taszkencie – ledwo żywa. Straszne to były czasy. Kobiety, które walczyły w partyzantce i miały dzieci, często nie wytrzymały. Życie tam było piekłem. Po pewnym czasie przerzucano je samolotami „z lasu” do Moskwy, a potem rozwożono tam, gdzie chciały dotrzeć. Moja matka kiedyś zobaczyła film *Taszkient chlebnij gorod*⁴ i umyśliła sobie, że może tam uda się przeżyć. Pojechała, a tam głód. Z trudem uszła z życiem. Władze radzieckie pozwoliły jej wrócić do Polski, gdy mój ojciec był już zatrudniony w kontrwywiadzie w Białymstoku. To był mniej więcej czerwiec 1945 roku. Miała ogromne szczęście – była jedną z pierwszych, które wypuszczono.

Zaczął Pan opowiadać o swoich korzeniach rodzinnych, które niewątpliwie mają wpływ na to, kim stajemy się w dorosłym życiu. Zastanawiam

4 Przypuszczalnie chodzi o powieść *Taszkient – gorod chlebnij* [Taszkient – miasto chleba] autorstwa rosyjskiego pisarza i dramaturga Aleksandra S. Niewierowa (1886–1923). Książka została wydana w 1923 roku, a film pod tym samym tytułem, nakręcony na jej podstawie, powstał dopiero w 1968 r., w reżyserii Suchrata S. Abbasowa.

się, jakie okoliczności sprawiły, że Pana rodzice – pochodzący z tak odmiennych środowisk – poznali się i założyli rodzinę?

Moi rodzice znali się jeszcze przed wojną – wychowali się w Pabianicach, znali te same ulice, ludzi. Matka mieszkała z rodziną przy rynku pabianickim, a jej bliscy wywodzili się ze Zduńskiej Woli, która przed wojną była jednym z ważnych ośrodków żydowskiego życia. To była duża, tradycyjna rodzina. Dwoje z rodzeństwa matki wyjechało do Palestyny i tam znaleźli schronienie. Wszyscy pozostali zginęli podczas wojny.

Ojciec pochodził z rodziny robotniczej. Jego rodzice byli tkaczami – mieli niewielki warsztat w Pabianicach, jakich wiele wówczas działało obok łódzkich manufaktur. Oboje z matką poznali się jeszcze w młodości, a po wybuchu wojny zdecydowali się uciekać na wschód. Dotarli aż do Białorusi. W Równem, gdzie zatrzymali się na pewien czas, matka pracowała jako dentystka. Tam też, tuż przed wojną niemiecko-radziecką, urodziła się moja siostra. Po wojnie rodzice trafili do Białegostoku, a wkrótce potem do Warszawy. Ojciec, przekonany ideowicie, zaangażował się w pracę dla nowej administracji. Ja przyszedłem na świat w lutym 1946 roku.

Wracając zaś do pytania o przyczyny wyjazdu z Polski, to w 1968 roku myśmy po prostu nie mieli wyjścia – musieliśmy wyjechać. Nie ze względów politycznych, lecz z powodów, które dziś trudno nawet w pełni opisać – atmosfera była duszna, pełna niepokoju. Otrzymaliśmy nakaz natychmiastowego opuszczenia mieszkania, które nawet nie było nasze, i absurdalne żądanie zapłaty za remont, którego nigdy nie przeprowadzono. Na szczęście mieliśmy znajomych w Szwecji. To ułatwiło decyzję i pozwoliło rozpocząć nowe życie. Patrząc z perspektywy, mieliśmy naprawdę dużo szczęścia.

A jak Pan wspomina swoje początki zawodowe w Szwecji?

W Szwecji spędziłem trzydzieści pięć lat – aż do 2005 roku, kiedy profesor Gąssowski⁵ ściągnął mnie do Pułtuska. Szczerze mówiąc, po tylu latach czuję się już trochę Szwedem. Kiedy przyjechałem do Polski, miałem wręcz trudność z mówieniem po polsku, mimo że miałem żony Polki i polską rodzinę. Tam zajmowałem się przede wszystkim archeologią skandynawską i epoką wikingów – najpierw kulturą materialną, a potem także innymi rzeczami.

5 Jerzy Filip Gąssowski (1926–2021) – archeolog, prof. dr hab., kierownik Zakładu Historii Wczesnego Średniowiecza w Instytucie Archeologii UW (1977–1996), dyrektor (1987–1989) i wicedyrektor (1992–1993) Instytutu Archeologii UW, dyrektor Instytutu Antropologii i Archeologii AH im. A. Gieysztora w Pułtusku (1996–2011).

Bardzo pomogły mi w tym wcześniejsze polskie doświadczenia i solidne przygotowanie zawodowe, które – muszę przyznać – było ciekawsze niż to, jakie mieli moi szwedzcy koledzy.

Miałem też sporo szczęścia. Pracowałem w Starej Uppsali – miejscu centralnym i kultowym, bardzo ważnym dla szwedzkiej tożsamości. Dzięki temu wszedłem głębiej w badania nad początkami królestwa szwedzkiego. Jednocześnie, ponieważ znałem rosyjski i dobrze orientowałem się w epoce wikingów, napisałem książkę *Ruś wikingów* [tytuł oryginalnego anglojęzycznego wydania to *Viking Rus* – dop. KKR]. Chciałem w niej pokazać obecność Skandynawów na wschodzie – poprzez archeologię, ale też źródła pisane. Okazało się jednak, że to było za dużo dla Rosjan – książka została w Rosji zakazana. To był fatalny wątek, bo zmusił mnie do zerwania kontaktów z rosyjskimi kolegami, nawet tymi długoletnimi.

Pamiętam, jak w czasie odwilży w latach dziewięćdziesiątych przyszedł do mnie do Instytutu archeologii z Petersburga. Było lato, w pracy pustki, wpadłem tylko na chwilę i nagle ktoś puka do drzwi – otwieram, a tam stoją nieznani mi ludzie, którzy przedstawiają się po rosyjsku. Oczywiście znałem ich nazwiska z literatury. I od razu mówią: „Musimy podpisać umowę o współpracy badawczej!”. Ja na to, że nie jestem dyrektorem i nie mogę podejmować takich decyzji, a oni: „Nic nie szkodzi, papier to papier – jak będzie pieczęć instytutu, to wystarczy”. No więc napisałem, przybiłem pieczęć i tak ruszyliśmy. Kontakty się świetnie rozwijały aż do początku tego wieku. Potem przyszedł Putina i wszystko się skończyło. Niestety w *Rusi wikingów* podziękowałem moim rosyjskim kolegom z imienia i nazwiska – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to może im zaszkodzić. Byli przerażeni. Okropieństwo. To było dla mnie straszne. Książka powstała w 2003 roku, a po angielsku ukazała się rok później. To była pierwsza monografia, którą napisałem w ciągu roku – sam nie wiem, jakim cudem. Byłem w takim twórczym uniesieniu, że wszystko szło błyskawicznie. Nigdy później już mi się to nie udało.

Potem wróciłem do Polski. Wkrótce książkę przetłumaczono na polski – wydawnictwo chyba nie spodziewało się, że ta praca będzie miała taki rozgłos i powodzenie czytelnicze. Szybko, bo już w latach 2006–2007, wyszły kolejne dwa nakłady. Rzeczywiście był to pełen sukces, którego nikt się nie spodziewał, a na pewno nie ja. Wtedy w Polsce wszyscy chcieli, żeby Piastowie okazali się wikingami – jakieś kompletne szaleństwo! Książka się udała i żyje do dziś. Niedawno – ku mojemu przerażeniu i zgorszeniu – widziałem, że na aukcjach internetowych sprzedają ją po 500 zł.